Tom IV. Nr. 18.

21. Czerwca. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

STEFAN BATORY, KRÓL POLSKI,

i Jan Zamojski, hetman.

Słyszeliście już przy moskiewskiej wojnie, jakto Jan Zamojski doskonale wojskami przywodził, i walecznie zdobywał obronne zamki; nie zawadzi też opowiedzieć wam tutaj i co więcej o tym Zamojskim, jako że był to pan bardzo uczony i wielki wojownik.

Jak tylko przyjechał król Stefan do naszej ziemi, tak ci zmiarkował zaraz, że Jan Zamojski to najtęższa głowa między wszystkimi panami. Więc pomyślał sobie :

— Muszę ja się z nim dobrze zaznajomić, bo on mi może nie w jednem być do porady, jako znajomszy odemnie w sprawach całej ziemi.

I wnet też zaprzyjaźnił się król Stefan ze Zamojskim, a wcale się nie oszukał, lecz owszem dobrze na tem wyszedł, bo ów był mu we wszystkiem chętny i pomocny. Więc skoro potem przyszło do wojny z Moskalem, tak nasz król zrobił Zamojskiego hetmanem, czyli najwyższym dowódzcą nad wojskami, z czego nie mały był pożytek dla wszystkich, bo Zamojski umiał dobrze wojować, i bił Moskala co się tylko wlazło.

Niejedno dobre zaprowadził król Stefan razem z Zamojskim w urządzeniu całego kraju. Otóż dawniej, nie mieli nasi do prowadzenia wojny innego wojska jeno konnicę, a ta w górach albo w lasach nie wiele zrobić potrafi; więc król z Zamojskim myśleli nad tem jak-by tu temu zaradzić, i postanowili wojsko piesze, czyli piechotę. Składała się ta piechota, nie jak reszta wojska ze szlachty, jeno z ludu wiejskiego, a człowiek ten, co trzy razy w piechocie służąc odbył wojnę, stawał się już potem od wszelkiej pańszczyzny wolnym, a trafiało się nieraz i szlachcicem. Ustanowił też ten król trzy najwyższe sądy, starając się o to, żeby w całym kraju dobra była sprawiedliwość, a jeden z drugim nie robił co mu się podoba, bo na porządku i sprawiedliwości dobro kraju zależy.

Król kochał Zamojskiego jak brata i przyjaciela dobrego, a chcąc go sobie jeszcze bardziej zjednać, dał mu synowicę swoją imieniem *Gryzeldę* za żonę.

Niesłychanie huczne było to wesele Zamojskiego z Batorówną, a odprawiało się na królewskim zamku w Krakowie. Mnóstwo było gości sproszonych, tak z zagranicy, jak też i swoi senatorowie znajdowali się prawie wszyscy. Wesele to trwało cały tydzień. Na przenosinach państwa młodych odbywały się gonitwy na rynku krakowskim. Sam król z królową patrzał na to z okna jednej kamienicy. Siedm par, czyli czternastu rycerzy ***goniło na ostre***, tj. uderzali na siebie kopijami, i niejeden oberwał tam porządnego guza. Potem przyjechały maszkary, czyli ludzie poprzebierani w maski i stroje osobliwe. Najpierwsi wyjechali murzyni, prowadząc słonia, który miał na sobie wieżę; z tej wieży wylatywały różne fajerwerki i ognie. Znowu wyjechał wóz ciągniony przez dwanaścioro dzieci, wyobrażający dwanaście godzin. Każde dziecko miało zegarek na głowie; na wozie siedział człowiek z brodą i kosą w ręku, który wyobrażał czas, a za wozem szły osoby wyobrażające słońce i księżyc. Dalej szedł wóz niebieski w obłokach, zrobionych bardzo sztucznie z bawełny, ciągniony przez trzech orłów. Na tym wozie siedział niby to bożek jakiś, który rzucał pioruny; taki sztuczny jeden piorun zapalił obłoki z bawełny, i wszystko dobrze palić się zaczęło, co jednak szczęściem ugaszono.

Była znowu okazała brama zrobiona, przez którą przeciągali rycerze cali w żelazie; trębacze poprzedzali ich grając na trąbach. Za nimi jechał wóz z jeńcami moskiewskimi, i z łupami zdobytemi na nich; jeńcy ze swoim hetmanem byli przykuci do woza łańcuchami. Był też tam i błazen, który naśmiewał się z cara Iwana że tak groził Polakom przed wojną, a po wojnie opuścił uszy. Za tymi jechały osoby udające myśliwych, z chartami, sokołami, sieciami. Jechała i piękna kobieta ciągniona od wielorybów, którym z pyska, z oczu i z nozdrzów wytryskał pachnący olejek. Gdy cały ten orszak przeciągał przez miasto, rzucano pomiędzy lud śrebne talary.

Aleć kiedyż jest szczęście doskonałe? Otóż i Zamojski nie był zupełnie szczęśliwym, a to dla tego, że miał wroga w jednym takoż wielkim panu, który się zwał *Zborowski Samuel*. Miał ten Zborowski kilku braci, którzy też po jego stronie stawali, i dużo innych panów za sobą, więc broił sobie niejedno, i zawsze mu na sucho uchodziło. Trzeba zaś wiedzieć, że był ten wichrzyciel jeszcze za króla Walezego z polskiej ziemi wygnany, a to dla tego, że zabił jednego z panów pod samym zamkiem królewskim; aleć że potem przy Batorym w Siedmiogrodzie siedział i do jego królestwa się przyczynił, więc pozwolił mu król wrócić do kraju, i jakoś wszyscy przez szpary się na to patrzyli.

Lecz Zborowski nie mógł cicho na miejscu usiedzieć, co chwila zrobił jakąś burdę, i nie bał się nikogo, ale owszem naśmiewał się ze wszystkich. Tak go też w końcu to jego szaleństwo oślepiło, że zaczął się wdawać w różne sprawy z Kozakami, a wreszcie z carem moskiewskim i z Niemcami, podbechtując ich na Polskę. Pisywał on w tej mierze listy do swoich braci, i jakiś czas nic, aż ci w końcu wpadły Batoremu do ręki takie pisania, z których jasno zdrada Zborowskich się pokazywała. Więc kazał król Zamojskiemu pojmać Zborowskiego, i w więzieniu osadzić, co też hetman niebawem uczynił.

Dopieroż zaczęły się sądy straszne na zamku krakowskim. Król był wtedy w Litwie, ale nakazał Zamojskiemu jak najostrzej sobie postępować, więc też swarów i różnych mów było

co niemiara; aleć w końcu stanęło na tem, że Samuel Zborowski jest winny, i musi dać garło pod miecz katowski.

Jakoż niezadługo, choć tak wielkiego pana, wyprowadzał raniutko kat za furtkę zamku krakowskiego na ścięcie. Zborowski był bardzo skruszony, bo poprzód długi czas modlił się w kościele. Wyszedł też za nim i Zamojski z kościoła, i zawołał:

— Panie Zborowski postój, proszę cię, i odpuść mi, że cię tracę!

— Obejrzał się Samuel i rzekł: — Nie odpuszczę!

— Postój! — wołał drugi raz Zamojski — odpuść proszę cię.

— Nie odpuszczę, już to wiedz — odparł tamten.

Więc po trzeci raz zawołał Zamojski:

— Dla Boga cię proszę, odpuść mi! —

A wtedy Samuel stanął, mówiąc:

— Tuś mię zagadł, i odpuszczam.

Potem wyprowadzono go na plac tracenia, a tam gdy po trzeci raz wymawiał imię *Jezus*, hajduk ściął mu głowę. Bo taka już była wonczas sprawiedliwość, że nie zważano czy chudy pacholik czy pan wielki, jeśli tylko źle tej ziemi polskiej życzył, to musiał to odpokutować. A sprawiedliwość ta szła od samego króla, zaś wiecie, że na tem najwięcej zależy czy głowa dobra, bo wtedy i wszystko inne będzie dobre.

Aleć niedługo już miała się cieszyć Polska tym sprawiedliwym królem. We dwa lata jakoś po owej sprawie ze Zborowskim, wyjechał Batory do Litwy, i tam myślał właśnie nad tem, czyby nie wydać Moskalowi wojny, bo nowy car po śmierci Iwana nie chciał wszystkiego jak się należało dotrzymać: gdy nagle zapadł w słabość z przeziębienia, i wnet zabrał go pan Bóg z tego świata na nieszczęście całej polskiej ziemi.

Przypada ta śmierć smutna w Grudniu roku 1586; miał Batory wtedy lat 54, a u nas panował przez dziesięć, i było to panowanie dla chwały i dobra całego narodu.

MALINY.

Przez litewski łan
Jedzie, jedzie pan,
Przed nim, za nim jego cugi,
W złocie, w srebrze, jego sługi,
Jedzie w gościnę,
Jedzie w gościnę.

Przyjechał na dwór,
Do matki dwóch cór:
— Matko, matko masz dwie róże,
Obie krasne, obie hoże,
Daj mi jednę z nich,
Daj mi jednę z nich!

Matka prosi wnijść,
Każe córkom przyjść,
Lecz pan obie równo kocha,
I tę trocha i tę trocha,
Któraż tu wybrać?
Któraż tu wybrać? —

— Dwa im dzbanki daj,
Niechaj idą w gaj,
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze,
Ta będzie panią,
Ta będzie panią!

Słońce się zza drzew
Rumieni jak krew,
Krwawą łuną gaj ozłaca,
Z gaju starsza córka wraca,
A młodszej nie ma,
A młodszej nie ma.

Na jej czarnej brwi
Niby kropla krwi;
Któż wie z jakiej to przyczyny,
Od maliny lub kaliny,
Może to nie krew,
Może to nie krew!

— Oto malin dzban
Gdzie mój mąż, gdzie pan?
Siostra już nie wróci z gaju;
Może wpadła do ruczaju,
Może pożarł wilk,
Może pożarł wilk.

Pan rozesłał sług
Do gaju, nad strug;
Całą noc w gaju wołali,
Cały dzień w strugu szukali,
Nie ma i nie ma,
Nie ma i nie ma! —

Pan miał złota wór,
Murowany dwór;
Szczęśliwy z żoną szczęśliwą,
Z krasawicą urodziwą,
Z tą córką starszą,
Z tą córką starszą.

A gdy przyszedł maj,
Pobiegł panicz w gaj;
Kręcił dudki, zrywał kwiatki,
Z klaskiem, wrzaskiem biegł do matki:
— O mamo, mamo!
O mamo, mamo! —

Otóż dudkę mam,
Otóż pięknie gram;
Dudka moja osobliwa,
Jak siostrzyczka moja śpiewa,
Słuchaj piosenki,
Słuchaj piosenki:

„Graj Michasiu, graj!
Jak dziś kwitnie maj,
Tak nad róże, nad bławatki
Dwie nas kwitło w domu matki...
O moja wiosno!
O moja wiosno!

Ach, lecz siostry nóż
Skosił różę róż;
Pod kurhanem me mieszkanie,
Dzika wierzba na kurhanie...
O moja wiosno!
O moja wiosno!"

— Dziko synu grasz
Zkąd tę dudkę masz? —
— Dudkę ukręciłem w gaju,
Z dzikiej wierzby przy ruczaju,
Przy krzaku malin,
Przy krzaku malin. —

Pani pobladła,
Jak stała, padła;
Ileż straty, ileż szkody,
Wieś tak wielka, mąż tak młody,
Dziatki nieletnie,
Dziatki nieletnie!

Przez litewski łan
Jedzie, jedzie pan,
Lecz w całunach jego cugi,
Lecz w żałobie jego sługi
Przy trumnie pani,
Przy trumnie pani! —

A. Ch.

O konstytucyi trzeciego Maja.

Nieraz to wspominają ludzie o tej dziwnie dobrej *konstytucyi*, więc też nie zawadzi powiedzieć wam kilka słów o niej.

Dnia 2go Maja 1791 roku zasiadł sejm na zamku królewskim w Warszawie, i wielkie tam działy się rzeczy. Zebrani panowie na czele z królem Stanisławem Augustem, pod marszałkiem sejmu, Stanisławem Małachowskim, ułożyli błogosławioną dla kraju ustawę. Po pierwsze: ażeby odtąd król był dziedzicznym, to jest: by syn następywał po ojcu, czego po śmierci ostatniego króla z rodu Jagiellonów nie bywało, i co też przy wyborach nowego króla niejednę sprowadzało niezgodę. — Po drugie: aby większa była siła wojska ku bronieniu granic od nieprzyjaciela. — Po trzecie: aby ministrowie byli odpowiedzialnymi za sprawy swoje. Po czwarte: uchwalono usamowolnienie włościan na zasadzie umowy z dziedzicami Po piąte: aby wszystkie stany były sobie równe: by jeden przed drugim nie nazywał się lepszym, tylko jako wyszedł z rąk Bożych: bratem jeden drugiemu, a nie wzywał przed innymy jakiegoś tam dla siebie prawa, choćby się był i w złocistym urodził pałacu.

Król pierwszy ozwał sie za tą uchwałą porównania stanów i usamowolnienia włościan. Poczem marszałek sejmu Małachowski, punkta do ustawy wymienił — i powstały głośne na sali wiwaty. Wszyscy wołali: Wiwat wolność! Wiwat równość! Król z narodem, naród z królem! Wiwat Małachowski!

Podano królowi księgę ewangielii św., i poprzysiągł przed biskupem krakowskim, ks. Turskim: jako ową ustawę ściśle zachowywać i do ostatniej krwi kropli bronić będzie. Po skończonej przysiędze zawezwał wszystkich do kościoła farnego, św. Jana, na wykonanie podobnejże przysięgi.

W tym czasie wiadomość o tem co zaszło na sejmie, niby błyskawicą na całą ziemię wybiegła — i zebrały się w jednej chwili nieprzeliczone tłumy ludu przed zamkiem. A gdy król z panami sejmującymi do kościoła przechodził, głośne podnosiły się okrzyki radości najwyższej. Powtarzano ciągle: Król z narodem, naród z królem! — i krzyczano: Wiwat Małachowski! Niech żyje zacny marszałek sejmu! Wiwat Sapieha, marszałek litewski!

W kościele przysięgę wykonali wszyscy: jako będą strzegli i bronili tego prawa, które szczęście całemu narodowi przynosi. Kto tylko chciał, to rękę do góry podnosił. I padali na kolana, modlili się, Bogu dziękowali — i płakali. Nieprzyjaciel nieprzyjacielowi rzucał sie na szyję i ściskali się, gdyby bracia kochający: wszędzie szerzyła się jedność i zgoda.

Po wykonanej przysiędze zaśpiewano pieśń: Ciebie Boże chwalimy! a potem panowie znowu do izby sejmowej wrócili, i spisano całą tę ustawę jak przynależy, ze wszelką formalnością.

Potem, gdy skończyło się to posiedzenie sejmowe, udali się wszyscy na ratusz. Małachowskiemu chciano konie u karety wyłożyć, i tysiące rąk do niej pragnęło się zaprządz. Ale nie pozwolił na to żadną miarą, i znowu krzyczano: Wiwat Małachowski!

Na ratuszu panowie, a na ich czele Małachowski i książę Sapieha, zapisali się w miejską księgę — to jest: zrównali się z mieszczaństwem. Znowu wielkie powstały wiwaty! Szlachta ściskała się z mieszczaństwem: z krawcami, szewcami, a gdy

na ulicę wybiegli i spotkali chłopków, to i z nimi się całowali, że aż pan Bóg radował się w niebie z tej miłości braterskiej.

Dnia drugiego, w dniu trzecim Maja ogłoszoną publicznie została nowa ustawa, którą nazwano: Konstytucyą trzeciego Maja.

Wieczorem w całej Warszawie wielkie było oświetlenie, bo i najbiedniejszy wyrobnik w okienku swojem zapalił świeczkę i wianek zielony zawiesił.

Przed pałacem marszałka Małachowskiego było najpiękniej. Paliło się tam świateł tysiące. Stał posąg, który wyobrażał kraj polski, a przy nim były herby wszystkich województw, i śliczne napisy, literami wielkiemi z lamp kolorowych: wolność handlu — prawo dla włościan — porównanie stanów.

Lud częstowali po placach majętniejsi kupcy i panowie, muzyka grała, śpiewano i tańczono. Oto pierwsza zwrotka poloneza, nazwanego trzecim Maja:

Zgoda sejmu to sprawiła,
Że nam wolność przywróciła.
Wiwat, wiwat wszystkie stany!
Niechaj żyje król kochany!

Ale, mój Boże jedyny! niedługo to było tej szczęśliwości. Nieprzyjaciel patrzał się na wszystko zazdrośnem okiem i z nienawiścią szatańską — i Moskale rychło wojskiem swojem kraj zalali. Przyszło do bitew krwawych — i przemoc zwyciężyła: pokrajano Ziemię Polską, niby szmatę jaką. Król Stanisław August umarł, jako więzień cara moskiewskiego w Petersburgu. Wrogowie podarli konstytucyą trzeciego Maja, która kłóła ich w oczy, a nam pozostało się o niej tylko święte a błogie wspomnienie.

Paulina z L. Wilkońska.

Smierć zacnego pana.

Niedaleko miasta Mohylewa, mieszkał w znacznych dobrach swoich pan Ignacy Chodkiewicz. Zacny to był obywatel, dobry sąsiad, a miłował lud wiejski gdyby ojciec rodzony. Wszyscy

też przychodzili do niego na poradę, jako do najlepszego opiekuna, nawet i wtedy, gdy przyszło któremu córkę za mąż wydać albo syna ożenić: dziedzic o wszystkiem wiedział, dobrze poradził, bo miał i rozum i wolę najlepszą. Kiedy dwóch się poswarzyło — jak to bywa zwyczajnie — zaraz i do dziedzica poszli: pan wysłuchał jednego i drugiego, rozrządził sprawiedliwie, powiedział jednemu: w tem zbłądziłeś; drugiemu: w tem sobie źle postąpiłeś, i kazał, by sobie ręce podali, i znowu świętą zaprowadził zgodę.

Dnia jednego wracał pan Chodkiewicz do domu, a były właśnie złe drogi, jak to na wiosnę, w czasie roztopów bywa, a przytem jeszcze wieczór ciemny, choć oko wykól. Woźnica o ile mógł, ostrożnie jechał, ale nieszczęście zrządziło wszelako, że powóz wywrócił, a biedny pan wypadł i srodze się uszkodził. Przywieźli go nawpół żywego do domu, przywołano doktora — aleć, mój Boże, ten już nic pomódz nie zdołał. Siódmego dnia choroby zażądał pan Chodkiewicz księdza, dysponował się przykładnie; a potem żądał, ażeby puszczano wszystkich do niego, ktoby go chciał pożegnać, ponieważ czuje, że śmierć się zbliża. Gdy ta smutna wiadomość rozeszła się po wsi, zebrali się wszyscy na dziedziniec: gospodarze, parobcy, kobiety, starcy i dzieci, z wielkim żalem, by pożegnać dobrego pana i prosić o jego błogosławieństwo. Dwóch sędziwych chłopków przylgnęło do rąk umierającego. Płaczące niewiasty podnosiły dzieci swoje, by się przypatrzyły poczciwemu panu. A chory podniósł się z boleścią na łóżku, wyciągnął rękę, i jako ojciec rodzony a kochający całą pobłogosławił gromadę; przy tęm prosił: by wzięła w opiekę wdowę jego i sierotki. Rozległ się płacz głośny, wszyscy przyklękli. Mężczyzni przyrzekli o co prosił umierający; niewiasty modliły się głośno. I skonał zacny Ignacy Chodkiewicz z wielką dla wszystkich żałobą.

Gdy wyprowadzano ciało, znowu cała zeszła się gromada. Otoczyli wóz pogrzebowy i zaśpiewali: A c h m ó j B o ż e! w i e r z ę T o b i e! — i przeprowadzili drogie zwłoki do kościoła parafialnego w Łuszowie, oddalonego o dwie mile.

Zmówcie i wy paciorek za duszę poczciwego pana i szlachetnego człowieka ś. p. Ignacego Chodkiewicza.

Paulina z L. Wilkońska.

Ciekawy Wojtuś.

Telegraf.

Dom pana rymarza Walentego stał przy samym gościńcu, widziałeś więc czy to z ławy czy z okna co się na drodze dzieje. Ha, nic się tam tak dziwnego nie działo: jechali ludzie z jarmarku i na jarmark, szły bryki skrzypiące wysoko naładowane, szedł ten i ów człowiek, czasem znajomy, więc majster pogadał z nim chwilkę przez okno, i tak było długo, długo; aż ci raz przyszli robotnicy, i zaczęli kopać doły przy gościńcu, i wsadzali wysokie, jodłowe, gładko ociosane pale.

— Co to będzie? — pytał jeden drugiego, i stawali ludzie, przypatrywali się onej robocie.

— Pewnie będą kogoś wieszać — ozwał się szewc Skuba — bo widzicie haczek żelazny u góry.

— O, ruszył rozumem jak martwe ciele ogonem! — zawołał sąsiad Skuby — a toćby ludzi nie nastarczyli do wieszania. Toć przypatrz-że się co tam tych palów już stoi!

Spoglądneli wszyscy, a jużci, jak gościniec długi, tak ci pal za palem stoi, a inni robotnicy przybijają żelazne haczki w górze i wieszają na nich nie ludzi, jeno jakieś niby dzwonki szklanne, i ciągną drót miedziany od jednego do drugiego.

— A bodajże ich! ta co to będzie? — zawołał Skuba rozciekawiony do żywego, skrobiąc się w głowę.

— A kiedyś taki ciekawy, to idź się spytaj robotnika — ozwał się sąsiad szturkając go w ramię.

— Więc Skuba poszedł, uchylił czapki i pyta się grzecznie: do czego to te pale oni zasadzają.

— To bude sem *telegraf* do gadania! — mruknął robotnik, jakiś czech czy szlązak.

— *Telegraf* do gadania! — powtórzył Skuba, otworzył gębę i przejechał palcem po czole.

— *Telegraf!* — powtórzyli za Skubą ludzie, powytrzeszczali oczy jeszcze bardziej niż dotąd, i porozchodzili się do domów, ale żaden z nich nie wiedział, co to będzie ten telegraf do gadania.

Tymczasem robotnicy robili i zrobili, i wnet stały rzędem pale, i drót był po nich wierzchem poprzeciągany, a ludzie chodzili i dziwili się, ale żaden nie wiedział do czego też to takie dziwo może być przydatne.

Widział też i Walenty całą tę robotę, boć przecie przed jego domem także stawiali, a uśmiechał się tylko i oczami mrugał, boć on człek stary i bywały znał już z innych krajów takie telegrafy, wiedział dobrze na co je stawiali. A ciekawy Wojtuś nie mógł już na miejscu usiedzieć, jeno się kręcił wciąż wedle ojca i w oczy mu spoglądał, takby się rad coś dowiedział o tych dziwnych słupach z drótami.

Jakoż wnet trafiła się pora. W niedzielę popołudniu usiadł Walenty przed domem, a Wojtuś koło niego: przyszedł też szewc Skuba ze swoim sąsiadem, więc pan rymarz zaczął im rozpowiadać o telegrafie, w ten sposób:

— Może mi nie zechcecie uwierzyć co wam tu powiem, takie to jest dziwne, aleć nie darmo głowa moja siwa, toż was i oszukiwać na starość nie myślę.

— O mój Walenty, a toć przecie każdy daje wam wiarę — przerwał Skuba tę mowę starego, a Wojtuś przysunął się bliżej do ojca.

— Otoż na ten przykład — zaczął znowu pan rymarz — widzieliście nieraz, że jak kowal kawałek sztaby do ognia jednym końcem kładzie, to drugi koniec obcęgami chwyta. A dla czego to? Owóż dlatego, że jak jeden koniec żelaza jest w ogniu to na drugim końcu, choć się z ogniem nie styka, także się możesz spiec uczciwie, bo ciepło od węgli po całym żelazie się rozchodzi.

— No, to prawda! — ozwali się słuchacze.

Walenty poprawił się na ławce, i tak mówił dalej:

— Uważajcież teraz dobrze! Jak ono ciepło co z jednego miejsca wszędzie się rozchodzi, tak też w ziemi, w bursztynie i w różnych innych rzeczach jest taka siła, co jeszcze prędzej od ciepła się rozchodzi. Możesz widzieć tę siłę w bursztynie, jeżeli go potrzesz o sukno i przybliżysz do drobniutkiego puchu, to ci te piórka tak do onego podskoczą jak żywe. A jaka ta siła bywa czasem straszna, to najlepiej widać po piorunach,

gdyż te wtedy tylko biją, kiedy ona z chmur do ziemi przeskakuje. Owóż tę siłę nazwali obcy ludzie: *elektryką*, więc tak się też i u nas nazywa.

— Trzeba wam teraz wiedzieć — ciągnął dalej pan majster — że jak ciepło nie po wszystkich rzeczach się rozchodzi, bo jak zapalisz kawałek drzewa z jednego końca, to go możesz za drugi trzymać, a nic cię nie spiecze: tak też i elektryka przez byle co nie przejdzie. Jak dla ciepła tak i dla elektryki najlepszemi są przewodnikami *kruszce*, jak: żelazo, miedź, srebro i t. d. A jeżeli jeszcze do tego powiem że ludzie sztucznym sposobem elektrykę, czyli oną siłę dziwną wywołać potrafią, toć już zaraz zrozumiecie, jakim to cudem telegrafy gadają.

Owóż w głównych miastach przy gościńcach, kędy te słupy poustawiali, są osobne izby i osobni ludzie do robienia tej elektryki. Mają też ci ludzie umówione między sobą znaki, z których tak czytają jak z książki, a mogą też każdego czasu jak im się podoba puścić elektrykę po tym drucie na owych słupach; więc jeżeli jest co pilnego, że o tem o kilkadziesiąt mil wiedzieć muszą, więc urzędnik od telegrafu puszcza elektrykę po drucie, raz trochę, drugi raz więcej, wedle tego jaki chce znak mieć czy krótki czy długi, a w onem miejscu gdzie ta elektryka idzie, jest już taki gwóźdź urządzony, którym ona rusza, i znaki krótkie i długie na papierze wybija. No, więc nic trudnego tamtemu przeczytać z papieru na znakach, i dowiedzieć się co tam słychać o mil kilkadziesiąt.

— Aha, — zawołał Skuba i otworzył gębę — już go mam! Ale że ta elektryka bestyja nie zbłądzi, jeno sobie tam idzie, gdzie kto zechce!

Walenty uśmiechnął się i ruszył wąsami:

— A od czegoż są druty? Toć przecie po drucie idzie, więc gdzie drut pociągnięty, tam też i ona zajdzie.

Roześmieli się teraz wszyscy z mądrego Skuby, boć to przecież jasne jak słońce.

— A nie tylko że trafi — mówił dalej Walenty — ale ci tak prędko idzie, jak żebyś raz jeno okiem mrugnął. Nie ma też nawet mowy o tem, żebyś ją chciał dogonić choćby ptakiem, choćby żeleźnicą! —

— Mój tatusiu — odezwał się jeszcze ciekawy Wojtuś — a że też to tego nie widać jak idzie?

— A widziałeś ty wiater? — rzecze Walenty, — Chyba po tem jak drzewa zgina. Owóż wiatru także nie widać, a przecież ma on taką siłę że dachy zrywa i drzewa wykorzenia.

— Prawda, prawda! — odezwali się wszyscy i dziękowali Walentemu za wytłumaczenie tej dziwnej sprawy z telegrafami.

— Hej, miły Boże! — rzekł wreszcie pan rymarz powstając z ławki. — Dużo jest takich rzeczy, o których my nic nie wiemy, a tysiąc takich, o których się i największym mędrcom nie śniło, bo wielka jest moc i mądrość Boga. Chodźmyż Go więc pochwalić w świątyni Jego — dodał Walenty.

Prawie też zadzwonili na nieszpory, więc wszyscy jak byli powstali i szli do kościoła.

Grześ z Mogiły.

Ptaszki.

Wieczór był cudownie piękny, jak to zwykle bywa na drogiej naszej ziemi, kiedy Boża wiosna na nią zawita. Pomiędzy liście igrały promienie słońca i obłoczki złotych muszek, wrzosy i trawy w lesie pachniały, a Boży śpiewacy, ptaszkowie, każdy po swojemu, śpiewali i świegotali, aż się serce radowało: i kos, i wilga, i pokrzywka, i w ciemnych krzakach słowik, dalej na polu w podrastającej pszenicy gospodyni przepióreczka, a wysoko, wysoko skowroneczek, wiosny dzwoneczek.

Jakie to małe mój Boże! — a tak się cieszyć umie; takie to niepokaźne i niby liche, a jak to wdzięcznie śpiewa; z jaką to skrzętnością buduje sobie gniazdeczko, jak pieści i kocha drobne pisklęta swoje! — myślałem sobie. I nie wiem coby tam pomyślał sobie człowiek miastowy, gdyby mnie zeszedł onego wieczora w lesie — bo to prawdę wyznawszy, w oku łza mi świecić poczęła, kiedym tak patrzał na ten drobny a liczny światek ptaszy.

Aż oto nagle zaszmerało, jakby się ktoś z głębi lasu zbliżał ku ścieżce, i usłyszałem prędko wyrzucane słowa, jakby

kto klął Boże odpuść! Był to gajowy widocznie, z strzelbą przez plecy zarzuconą, głowę zwiesił ku ziemi, a szedł szybko, a machał rękami, to znowu pięść prawą podnosił do góry, jakby się odgrażał.

— A to skaranie Boże! a to Sodoma! jeszczeż tego nie było! a żeby nie skonał! A to skaranie Boże z zawłokami temi! A toć to Boskie i nasze, toć to się u nas wychowało! A co to komu winne! — wołał z pod nosa gajowy, aż i podczas tej rozmowy z samym sobą, do mnie się zbliżył.

— I cóż to takiego człeku? — spytałem gajowego, który mnie wreszcie postrzegł, i skłoniwszy się przywitał po chrześcjańsku: — Niech będzie pochwalony!

— A paniczu, płakać mi się chce, serdecznie płakać. Oj żeby to wolno było bić, popamiętał by do grobu, i kto wie czyby to się do domu nazad dowlokło! — rozrzewniony i gniewny zarazem wołał stary gajowy.

— Ale cóż to przecie takiego? czy wam kto krzywdę wyrządził? zapytałem na nowo.

— Nie, mnie nie skrzywdził, paniczu—alećto obraza boska! Przywlokło się jakieś cudzoziemczysko do leśniczego w tutejszych cesarskich lasach; brat podobno jego; bez butów prawie, choć w surducinie, niemyte, a w oczy aż strach popatrzeć. Siedziało to sobie cicho z początku, widać odjadać się musiało, bo o proszonym chlebie przywlokło się jak powiadają. Aż tu nagle zaszło w las z klatkami, prętami i różnem robactwem, i dalejże łapać słowiki! I nałapało zeszłego roku więcej może jak sto, i wywiezło. A tego roku nanowo tu przybyło, ale już nie piechoto, tylko czepiając się wozów po drodze.

— Dziwno wam paniczu — ciągnął poczciwy starowina dalej. Bo i komuż by coś takiego na myśl przyszło! Wszakci to takie małe, liche, niewinne mój Boże, tak to słodko śpiewa, że słuchając nieraz się człowiek rozpłakać gotów; i choćby dojadał frasunek najgorszy, to weselej jakoś wtedy koło serca.

— I cóż, nie skarzyliście do urzędu? zapytałem.

— A na co się to przydało, paniczu? Powiadają, że starszy w becyrku, to jakiś kmotr czy krewniak jego. Ledwie ksiądz wikary wstrzymał gromadę, że kości nie potłukła za-

włoce. Cóż było robić? Prosiliśmy jego, aby sobie poszedł z Bogiem, ale tylko oczy wybałuszył, i coś szwargotnął po niemiecku. Udaliśmy się do leśniczego, ale nas wyśmiał, i za drzwi wytrącił. Wreszcie my się złożyli po groszu, dawaliśmy, aby dał ptaszkom pokój; i to na darmo. Ale trafiła kosa na kamień! — zawołał gajowy, i roześmiał się.

— Trafiliście do końca z niemcem?

— Ho, ho, trafili, choć to on ma rozum zagraniczny. Jak się tylko niemczysko pokaże w lesie, to już za nim chłopcy ze wsi okolicznych; jak zaczną hukać, wołać, śpiewać, rzucać prętami, bić po krzakach, to ptaszęta za siódmą granicę uciekają — a zawłoka aż się kurczy od złości, i klnie po swojemu, i jak opętany skacze. To się znowu pocznie lizać, pokazywać pieniądze chłopcom — ale żaden nie chce zaprzedać diabłu duszę.

— Więc cóż: czy pojechał?

— A na złamanie karku, Boże odpuść! I żeby nas popamiętał, to podobno coś na drodze oberwał. Odjechał dzisiaj. A jeżeli łaska, to wy paniczu jako piśmienni, opiszcie to do gazet, aby się ludzie o tem dowiedzieli; bo może bieda gdzie dalej pojedzie na krzywdę ludzką i obrazę Bożą.

R. z W.

RÓŻNOŚCI.

Czego ty szukasz? Często się zdarza, że i między najzgodniej żyjącem stadłem powstają swary i gniewy. To samo też zaszło w domu szewca **Kudrego.**

O coś im tam poszło, dość że się pokłócili, a mąż się tak srodze zawziął na swoją kobiecinę, że przez kilka dni ani słówka nieprzemówił do niej. Jak rano wstał, to zmówiwszy pacierz, zabierał się do roboty; a jak mu dała żona jeść, to zjadł, otarł gębę i dalejże znów do kopyta i dratwy — ani słówka niepisnął, choć mu za uszami gderała. — Kudry udawał, jakby niesłyszał tego gadania.

Minęło tak jakoś parę dni. — Razu jednego już w nocy majster leżał w łóżku, naciągnął kołdrę na uszy i pomyślił sobie: — Gadaj teraz, co ci się żywnie podoba. Obrócił się do ściany i już począł usypiać. W tem majstrowa bierze świecę i zaziera w każdy kąt; odstawia, przystawia, to coś sprząta, a tłucze się przytem jak Marek po piekle i przyświeca sobie,

niby czegoś szukając, poziera po ziemi, po gratach, a nawet i po warsztacie mężowym. —

Szewc, obudzony takiem tłuczeniem się żony, odwraca się, spoziera z pod oka zdziwiony — jakby się pytał: — Czego ona szuka?

Ale niemiał jeszcze ochoty majstrunio przemówić do swej żony — leży więc i nic nie mówi. — Ale że stukanie i przesuwanie dość długo jeszcze trwało i nie dało mu spać — zniecierpliwiony biedny Kudry siada na łóżku i patrzy w około; a gdy jego żona, na którą on się tak śmiertelnie zagniewał, przyszła na środek izby i świeci, spozierając na podłogę jakby coś zgubiła i szuka — więc krzyknie rozzłoszczony do żywego: — Czego ty szukasz?

— A twojej mowy — odrzekła mu łagodnie żona — i właśniem ją teraz znalazła. Powiedzno mi ty, czego się ty gniewasz; nic do mnie nie mówisz!?

Po takiem przemówieniu żony udobruchał się jakoś majsterek, a nawet się uśmiechnął — i odtąd pogodzili się szewcowie i rozmawiali ze sobą wesoło.

Grad. Nie dosyć na pożarach częstych i powodzi, jeszcze grad niszczy zasiewy, nadzieję przyszłego chleba. Oto dnia 2. czerwca między 4 a 5 godziną z południa wyszła od Przemyśla straszna chmura i rozwiesiła się nad polami, ciągnącemi się ku *Mościskom* i *Sądowej Wiszni.* Już koło Przemyśla zaczęła rzucać gradówkami, wielkiemi jak kurze jajo, a przeszło pół godziny sypała strasznym gradem po polach Medyki i pobliskich wsi. Niesłychane szkody porobiła gradowa burza we wsiach: *Medyka, Szechynie, Balice, Koniuszki* i pod Sądową Wisznią w kilku wioskach. Drzewa zostały bez liści, prawie że nagie, ozimina zmierzwiona i stłuczona że jej nawet nie rozpoznasz; w kilku miejscach leżały gradówki na pół łokcia wysoko, a niektóre były blizko takie jak gęsie jajo, i te mogłeś jeszcze widzieć na drugi dzień rano. I tak za pół godziny kilka mil kraju zostało bez chleba.

Co się dzieje, co się to dzieje! Czy to już sąd ostateczny na nas biednych? —

BIBLIOTHECA JAGELLONICA

☞ *Dzisiejszy numer jest ostatni z tego miesiąca Czerwca, i z nim prawie kończy się dwa lata, jak wam ten D z w o n e k papierowy moi ludzie różne rzeczy wydzwania. Brzydko to jest chwalić się, alec wiem od różnych znajomych i przyjaciół, że wam D z w o n e c z e k niejedną sprawił uciechę i niejedną też przyniósł naukę. Tak samo będzie on się i dalej sprawował, a i z płaceniem zostanie jak dawniej, choć wszystko podrożało, bo czasy kiepskie. Posełam wam też dzisiaj różową okładzinkę i spis rzeczy, i żegnam was panem Bogiem! —*

BIBLIOTHECA JAGELL.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.